

OD REDAKCYI.

Jak już zapowiedzieliśmy w poprzednim numerze, w maju b. r. rozpoczniemy druk najnowszej, niezmiernie interesującej powieści **Artura Gruszeckiego** p. t. **PO ŚLUBIE.**

Tymczasem zamieszczamy nowelę **Tadeusza Konczyńskiego** p. t.

UKOJENIE.

Autor, należący do młodego pokolenia powieściopisarzy, wyróżnia się wielkim temperamentem pisarskim, bogatą fantazją i malowaniem scen pełnych plastyki i uczucia. Cały szereg powieści i dramatów, granych na wszystkich scenach polskich z niezwykle powodzeniem, jak „Srebrne szczyty“, „Straceńcy“, „Demostenes“, wyrobił mu pierwszorzędną imię wśród plejady literatów polskich. Ostatnia powieść „Bunt“, napisana z niepospolitą brawurą pióra i gorącym umiłowaniem sprawy kobiecej, zbudziła powszechną uwagę i wywołała bardzo pochlebne, często nawet entuzjastyczne recenzje.

W drukowanej przez nas noweli „Ukojenie“ Tadeusz Konczyński maluje wytwornem piórem tragedję młodej dziewczyny, która powraca do zdrowia psychicznego po druzgocącej klęsce życiowej, uratowana miłością matczyną, orzeźwiona pięknem zimowej przyrody ojczystej. Te dwie miłości spletają się w akord, pełen podbijającego serca czaru poetyckiego, którym przepełniona jest cała nowela.

Tadeusz Konczyński.

Ukojenie.

Nowela.

Rupienki 10 stycznia.

Droga Mateczko! Jestem na miejscu. Twoje całusy i uściski były dla mnie orzeźwiającym lekiem... towarzyszyły mi przez całą drogę okropną, długą, jak wieczność.

Na ustach, na wargach, na czole czułam ich dobroć, ich ukojną moc, która pozwala mi żyć, oddychać i troszkę marzyć nawet o tem, co będzie.

Nie piszę Ci, Droga, jak podobają mi się Rupienki. Przyznam Ci się szczerze, iż tak jakbym nikogo nie widziała, jakby ten ktoś, kto ze mną rozmawiał, wprowadzając mnie z powozu w głąb dworu, był przesłonięty mgłami.

Nie zapamiętałam nawet twarzy. Dziwnie wstecz patrzę. Może dlatego, że w tej Warszawie zostawiłam moją cudną Mateńkę.

Ach, nowi ludzie! Nowy kąt ziemi! tak zawsze tego się bałam, a dzisiaj wydaje mi się to takie proste.

Skoro pękła struna, która zdawała się być całym moim życiem, skoro rozdzieliłam się z moją przeszłością w duszy i w sercu — zatem i lepiej, iż oddaliłam się z miejsc, które mnie kotłowały tak długo na moje przebudzenie straszne.

Dzięki Ci, Droga moja, iż oderwałaś myśli moje od bólu, przy którym warowałam tak, jak pies waruje na bezdrożach przy pierwszym człowieku spotkanym.

Wówczas wydało mi się niemożliwością, aby było jakieś wyjście dla mnie, prócz tej jednej, jedynej drogi po za życie.

Ach, Matko! kiedy przypomnę sobie Twą rozpacz, gdyś suchemi oczami, bo już leż Ci wówczas nie stało, patrzyła w moje oczy i szukała iskry przytomności, iskry ocuczonego sumienia i dumy i nie znajdowałaś nic prócz bezdenne go bólu — wstyd mi, po stokroć razy wstyd mi, iż tak było, iż tak mogło być.

Ty i lekarz przedkładaliście mi...

A ja byłam taka tępą, tak nic nie pojmowałam.

I wówczas to jedno słowo z Twych ust, to słowo, którego nie zapomnę do końca życia, uderzyło mnie jak przebolesny prąd elektryczny.

Zbudziło się we mnie poczucie, iż żyję, iż jeszcze jestem, i że miałam uczynić coś niewypowiedziane okropnego.

Po co jednak o tem piszę! po co!

Daruj, wybacz.

Ale zarazem ciesz się, Droga, bo to dowód, iż patrzę już w przeszłość jak w тумany wspomnień, które wichry unoszą daleko, daleko po za mnie, skoro o nich rozmyślać mogę i patrzeć na nie jako tako krytycznie.

Bądź zatem spokojna, Twoja Helena staje się napowrót takim człowiekiem, jakim chciałaś mnie widzieć. Już nawet nim jestem.

I kiedy te słowa piszę, uśmiecham się do mojej pracy nauczycielskiej wśród nowych, obcych mi ludzi, którzy będą dla mnie jak drzewa w wielkim lesie.

Będę ich mijając, mijając, aż przez las przejdę

i znowu z Tobą, najdroższą, spotkam się na lata nowe, inne, weselsze i pogodniejsze.

12 stycznia.

Dokoła śnieg. Jest tak białe, jak nigdy nie mogło być w Warszawie. Po raz pierwszy w życiu jestem na tak wielkiem morzu bieli.

Dziwne uczucie.

Nieraz dawniej bywało wyjeżdżaliśmy z Warszawy w zimie!

Nieraz podziwiałam majestat piękna tej doskonałej północy podbiegunowej, która jak powieka osuwała się na nasz kraj z dalekich, mroźnych przestrzeni, ale nigdy nie doznawałam tego dziwnego uczucia, jakie mię teraz przepełnia.

Droga Mateńko! W dzień śnieg, w którąkolwiek stronę okiem się rzuci. Niepokalana czystość wnika oknami, drzwiami, pije się ją jak „boski nektar“ — coś z moich studyów gimnazjalnych — i robi się cicho w duszy, słodko, dobrze.

Na tle tej bieli każdy człowiek rysuje się przeźraźliwie ostro. Żaden rys nie uchodzi uwagi. Można by powiedzieć, że każdy człowiek jest prześwietlony i już drugiego nie zdoła w błąd wprowadzić swoją wartością wewnętrzną. Poznaje się go łatwo na wylot. Psuje harmonię piękna albo się z nią zlewa w jeden akord.

Trochę poetyzuję! prawda?

Zaczyna się budzić we mnie dawna Hela.

A potem przychodzi noc zimowa, długa jak leżący potrzebny do zabicia złych wspomnień i złych wrażeń.

Mam w moim pokoju duże, szerokie okno o muślinowych firankach. Dziś w nocy lało się przez okno srebro księżycowej nocy i — och, całe morze śniegów, przelewające się po dalekich wzgórzach i olbrzymich polach, wpływało za tem srebrem przez omszone na brzegach szyby do mojej sypialni.

Przebudziłam się na krótkie pół godziny, bo to było tak piękne, tak mocne, jakby chóry dobrych duchów podały sobie ręce i szły, szły bez końca wprost na mnie z tych ogromnych zaświatów — Matko! chóry dobrych duchów! Balsam wpływał w moje piersi i kołł rany.

Tak musi czuć się człowiek chory, kiedy go z duszącej atmosfery miejskiej wyniosą na niedostępne góry do cichego sanatorium i otworzą upusty balsamicznego, czystego powietrza, tak musi czuć się człowiek ciężko chory, jak ja tutaj na wsi.

Po raz pierwszy radość życia, radość ocalenia przemówiła do mnie. Zatem łzami biegłam w Twoje strony, Matko, iż mię wysłałaś tu na te śniegi, do tego cichego kąta, gdzie każdy żyje własnym życiem, a nie cudzem, a nie rabunkiem, gdzie każdy człowiek zdaje się być kryształem przejrzystym, bez burz, bez szarów, bez szamotań i męki.

Jestem na wsi jakby w sanatorium duchowem.

Lecz mię białe pola śniegów, lecz mię czary polskiej nocy zimowej.

Cień Ryszarda głęboki, twardy, przesunął się przez moją pamięć tylko raz jeden, Matko.

Odróciłam oczy od tego bolesnego widoku i zapominałam o nim szybko! słyszysz, Mateńko? zapominałam szybko! jakby to wszystko nie stało się tak nie dawno i tak okropnie, jakby to był tylko cień, a nie miraż człowieka, który żyje, który...

Dość. Panuję nad sobą. Nie piszę i nie mówię już słów rozpacz. I Ty to samo uczyni, Droga Matko!

O wiem ja, doskonale wiem, kto by jeszcze oprócz

mnie powinien schronić się do takiego wiejskiego sanatorium, w jakim ja koję swoje potargane serce.

Wiem ja, kto cierpiał równie mocno jak ja, a nawet po tysiąckroć razy mocniej, co cierpiał za mnie moim bólem i cierpiał za siebie własnym, matczynym bólem nad zniszczonymi nadziejami, nad zniszczonym pięknym rapsodem życia, który ja i on mieliśmy stworzyć.

Ty, Matko, powinnaś być tu razem ze mną. I jeśli co mnie boli niewymownie, to tylko to jedno, iż musiałaś pozostać w Warszawie z bliskimi tych domów, tych ulic, tych wszystkich przeokropnych wspomnień.

Córka Twoja się leczy, dobrze, zamyka powoli oczy rozbolełe i coraz częściej uśmiecha się do cudów przyrody, a Ty, Matko ukochana...

Ach, ściska mi się serce, iż nic dla Ciebie nie mogę uczynić i że Bóg mi dał taką miłość fatalną, niosącą ból i nieszczęście.

Bo przecież zło całe, które się stało, tkwiło we mnie, we mnie głównie! Gdybym mniej była wierzyła, gdybym mniej była ufna, gdybym nie oddawała całej duszy, wszystkich mych marzeń, gdybym nie zapamiętywała się bezwzględnie, tak bez ratunku w owym jednym uczuciu dla Ryszarda, gdybym była bardziej współczesną, lekką, gryzącą, wysmiewną, lub gdybym była bardziej staroświecką, pełną wiary w Boga, zgodliwą na zło, które los niesie, bardziej cierpliwą po prostu — nie byłabyś przeżyła tragedji — ja nie uciekałabym z Warszawy z rozbitem sercem i rozbitym zmysłem życia, a ty nie płakałabyś tak często jak wówczas i jak, o Boże! teraz to czynisz.

Matko złota moja! Wicher zimowy niesie w noc, a czasem o zmroku wizje Twych łez serdecznych, za dobrych, za rzewnych, nazbyt promienistych. O, niech odpoczną Twoje oczy. Szkoda ich, szkoda ich na tę całą pospolitość zawodu.

Bo i cóż to wszystko było?

Pomyśl, osądź, rozważ, a nie znajdziesz żadnego ogromu, żadnej potęgi wyższej, tylko prawdziwą pospolitość moich uczuć, które pod północnym polskiem niebem mocno, za mocno powięzały się z istnieniem Ryszarda.

Ach! szkoda garstki ziemi na te lekkie prochy.

Bądź, Matko, dobrej myśli. Przebacz mi swoje męki i swój nieszczęsny los. Przeszłość musi minąć. Przeszłość już mija.

16 stycznia.

Pytasz, Droga, o mieszkańców dworu? kogo spotykam? z kim się zaprzyjaźniłam? czy ci ludzie umieją uszanować cudzy spokój?

Wiem, co chciałaś przez to powiedzieć. Czy nie są natarczywi? Czy nie wdzierają się w moje wspomnienia, jak ciekawi parweniusze?

List mój pierwszy i drugi mógł Ci dużo powiedzieć. Nie wiele słów im poświęciłam, ale napisałam prawdę.

Ci ludzie są jak kryształy przejrzystości. Są przede wszystkim w sobie zamknięci, owiani cichą melancholią spokoju. Wątpię, czy ja czynię takie wrażenie, ale oni doprawdy tak. Czasem mam złudzenie, kiedy siedzę wieczorem razem z nimi przy stole jadalnym, w białym kręgu lampy, z moim złotowłosym kędzierzawym uczniem i jego matką, uśmiechniętą tym uśmiechem zastygłym dobroci i z nim, z jej mężem, panem domu, o przygasłych źrenicach, o miękkich półruchach, o przedziwnym wejrzeniu w głąb siebie, bo patrzy, jakby nie widział ludzi